50

I.Domeyko · Odpust w Kordylerach

Opr. „Starodruk" 1960 r.

9250 95

Odpust w Kordylierach na drugi dzień Święta Bożego Narodzenia w Andacollo. – w roku 1843 [Domeyko J.]

1

(Urywek z dziennika podróży po kraju)

24º. grudnia. Wigilia. [Kopia]

Jutro Święto Bożego Narodzenia, największe święto od stworzenia świata, zapowiadane od tysiącleci zbawienie rodu ludzkiego.

Dziś łamią opłatek w domu, niejedno oko zatrzymują wspomnienia na tych co umarli, co odjechali; – miękkie siano pod białym obrusem, nieliczona rozmaitość potraw. –

Dwónaste Boże Narodzenie obchodzę za krajem, – mieszkam na drugiej półkuli świata, nie mam do kogo przemówić ojczystym językiem. – Połowa ludzi co mię kochali wymarła, druga połowa może zapomina, pamięć nie w naszej mocy. –

Zaszłaż jaka odmiana we mnie? kocham że dziś mniej kraj, rodzinę? Wyszłoż na dobro dla duszy tyle cierpień, tęsknoty, przygód, tyle bieganiny po długim gościńcu pielgrzymstwa, któremu końca nie widać?

Czegom się nauczył, o czem się przekonałem, co widzę jak na dłoni, to jedno że człowiek mało co z siebie dobrego wymyśli, jeżeli się nie

niemocni w Wierze, i nieopne na Słowie Bożem; - zasługa polega na onej nieustannej walce jaką dusza prowadzić z sobą, ze skłonnościami ku złemu; a srogi to nieprzyjaciel co krok w krok idzie za człowiekiem, nie spuszcza go z oka, pochlebia mu i grozi.-

Prawdziwa mądrość nie jest z tego świata. Dziecko, pieszczota matki, widzi jak wyciąga rączki do Nieba: - mędrsze jest od wielu astronomów, naturalistów, filozofów, co w całej przyrodzie widzą tylko ruch i materyę, od tylu fachowych mędrców co dają naukę na lichy dla ciała pożytek, a Boga nie znają. - Doświadczenie znajomość ludzi i dalekich krajów o tyle tylko przydadzą się o ile zdolne są przeświadczyć, że właśnie człowiekowi co ma siebie za najdoświadczeńszego z ludzi, z największą należy ostrożnością chodzić.

Dlatego wszystkiemi siłami starać się powinniśmy o ustalenie wiary prosić o jej pomnożenie u Boga, w prostocie serca, jak dzieci proszą chleba u Ojca, a nie marnować rozumu na próżnych mrzonkach i wymysłach ludzkich od których schnie i kamienieje dusza.-

Najpewniejszym środkiem do umocnienia wiary są łaska i miłosierdzie Najwyższego, jest pokora i miłość bliźniego; ta nieograniczona miłość, której przykład

dał na sobie Zbawiciel, umierając za nas na krzyżu, przebaczając mordercom swoim, tylko do siebie dziecięcej niewinne. –

Ta miłość bez wątpienia jest fundamentem cnót, ramieniem do najzacię-tszego boju przeciw złemu, przeciw własnej dumie, głównej sprawczyni naszych nieszczęść. – Ale jak trudno znaleźć ziarno rodzimego złota bez aliażu podlejszych metali, tak nie łatwo spotkać w ludziach, prawdziwą miłość bliźniego, bez jakiej mieszaniny miłości własnej. – Napotykałem na swoim [illegible] gospodarzy którym brakło na miłości bliźniego, dobrych synów, dobrych braci, nawet hojnych w dawaniu jałmużny danew, którzy jej nie mieli, ba i nie jednego patryotę co tylko siebie kochał w ulubionej Ojczyźnie. –

Ale powiedzmy prawdę, to wszystko to od dawna wiadomo ludziom, i aby tego to od dawna wiadomo ludziom... nancyć niewarto było, tak daleko odjechać od domowej strzechy. – Jeśli to razy oddziecinnych lat słyszałeś takie i daleko lepsze napomnienia?

Prawda, ale i to prawda że nie tak blisko od ucha do serca jak się zdaje. – Są ludzie którym Bóg miłościwy wcześnie zagrozi w domu, pod okiem rodziców i drugich zarozumialszych odprowadzi za próg na stronę. Da oraz do upamiętania się

innych upartych zapędzi aż za drugi koniec świata i nauczą jak dobry nauczyciel, zadając coraz trudniejsze i trudniejsze lekcye, stosownie do pojęcia i karności ucznia.–

Tak sobie przedumałem samotnie cały wieczór na krzyżu, w grubej xiążce moich wspomnień, ażeby się, co się przewróciło w głowie. Aż o potrzebie przyszło mi ochotę pojechać nazajutrz na odpust do Andocollo, mającej wioseczki położonej gdzieś o 14 mil (7-narych) między kordylierami na wysokości przechodzącej 4000 stop nad poziom morza.–

To Andacollo jest jak nasza Częstochowa dzięki podobieństwo nazwiska do naszego Antokolu, gdzie jak wiadomo jest cudowny obraz Pana Jezusa, na przedmieściu wileńskiem.– W Andocollo jest cudowny obraz najświętszej Panny, i co rok, drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia jest odpust na który idą z rozmaitych, nawet dalekich stron górnicy, nawet bogaci panowie, ale nadewszystko górnicy pracowity lud, chory, ubodzy, gdyż prosty robociarski lud, milszy jest Bogu, niż napuszczeni światową próżnością magnaci.–

⁂

25. Grudnia. Boże Narodzenie.

Owoż pierwszego dnia świąt, po wysłuchaniu trzech mszy, w kaplicy tutejszego kolegium, wsiadłem na koń i pojechałem na odpust.

W drodze napotkałem jadących też do Andacollo dwóch zacnych kawalerów, Don Justo Medina i Don Juan Geronimo Espinosa. - Don Justo więcej niż przez 20 lat przeżył w Buenos Ayres i prowincyach Argientyńskich, patrzył na krwawe boje i okrucieństwa, powielekroć znajdywał się w niebezpieczeństwie utraty życia od Indian i od swoich; a jak powiadał, Bóg go wyratował na pociechę i podporę Matki podeszłego wieku. Don Juan Gieronimo był żołnierzem w wojnie o niepodległość, w licznych znajdował się bataliach w Chili i Peruwii, jechał teraz towarzysząc swojej osiemdziesiąt letniej matce, która trzema dniami pierwej pojechała konno do Andacollo.

W towarzystwie tych poważnych Panów weselej było jechać.

Droga pusta, skalista, miejscami tylko polewana z nowo wykopanego kanału wody; niezebrane łany pszenicy pozłacały się kłosami jakoby na wzór Lipca. - Nie mam potrzeby mówić żeby było gorąco, bo w tym kraju rzadka zmiana w powietrzu, i nie mam zwyczaju mówić o pogodzie

O kilka mil od miasta wjeżdżamy w ciasny głęboki wąwóz. – Na jego dnie rosną mirty, fuksye, heliotropy, mimozy, a po stromych spadzistościach od południowej strony, kolczaste kaktusy i agawy (pourretia), okraszone kwiatami pa- żywego pąsowego heirantus. – Po drodze napotykamy górników, idących na odpust, każdy z młotem przy tabakierce (jest to pochwa, w której lont knoty, proch), skórzanym fartuch na tyle, błękitny lub czarny pas, jaskrawe poncho, pąsowa czapeczka i żółte ochota (ojota, skórzane chodaki): jednym słowem, każdy tak jak idzie do roboty. – Większa ich liczba szła piechotą, inni wlekli się na zmordowanych koniach, mułach czy osiołkach, niejeden na lepszej szkapie, wiezie z kobietą za sobą a z dzieciątkiem na przodzie. –

Słońce chyliło się ku morzu, kiedyśmy dojeżdżali do pamiątki nad bliższemi górami wzgórzy, u której stóp poczynają się krzyże i małe ołtarzyki, obwieszone wiankami i girlandami ze świeżo powycinanych kwiatów.

Tu się poczyna odpust. Pomiędzy to jest ci którzy się ofiarowali, zatrzymują się i jadący zsiadają z mułów i z koni, wszyscy z odkrytemi głowami na słońcu, idą piechotą, niejeden boso lub na klęczkach, zatrzymują się przy każdym krzyżu, odmawiają różaniec. – Droga raczej ścieżka udeptana stopą pielgrzymią, idzie stromo w górę i wychodzi na szczyt obnażonej góry, na której stoi krzyż ostatnia stacya.

Stanąwszy na szczycie u tego krzyża, u której

kolwiek stronę spojrzysz, widzisz potężne Kordyliery. Ostatnie promienie zachodzącego słońca, zaczerwieniły się na najwyższych szczytach odwiecznemi lodami pokrytych. Niebo w zenicie było ciemno błękitne a na zachodzie rozsypały się w pręgi po turkusowem tle blade przezroczyste obłoczki.-

Tuż o parę set kroków od krzyża wznosi się w dolinie, między skałami, wspaniały o dwóch wieżycach kościół i biała wioseczka ludźmi jak mrowiem napełniona.-

Znajome mi były z geologicznych wycieczek te góry i dolina.-

Cały grunt tej doliny, okrągłej, czy raczej owalowej, otoczonej skałami, jest granitem, pokrytego pokładami piaszczystych i gliniastych napływowych okruchów, które się tu nad wiekami osadzały, kosztem najbliższych, okolicznych gór, po większej części porfirowych.- Ów granit w głębini jest ogniowa masa, wyparta z wnętrzności ziemi, i jej wyrzutem podniosły się góry, popękały się, a w ich szczeliny weszły złote i miedziane żyły.-

A facie Domini mota est terra - Montes exultaverunt ut arietes: et colles sicut agni ovium. p. CXIII.

Potem nieustannie wystawione na destrukcyjny rząd powietrznych czynników, kruszyły się te góry i ich częstokroć twarde kwarcowe żyły, z ich okruchami i żwirem, spławiane od ulewnych deszczów, które przed wiekami częstsze i obfitsze być musiały w tej strefie niż teraz. Drobne ziarna i listki złota chowały się w owym napływowym pokładzie w dolinie na której stoi kościół i wioseczka Andacollo.- Dziś ten

pokład na 20 do 30 łokci głębokości, cały zasiany jest złotem, iżby niezaostrzyć chciwości i łakomstwa w ludziach, jako to też w innem miejscu powiedziałem. Opatrzność zasiała bo złoto tak skrzętnie i ściśle, że się dotąd z niego nikt nie zbogacił, ale od przyjścia Hiszpanów, garstka ludzi, w małej tej osadzie, żyje skromnie i pobożnie, z płukania tej ziemi, a nawet przed odkryciem Ameryki, prakrajowcy dobywali tu złoto. - Owe kupy wyrzuconej ziemi i studnie są roboty górnicze tych wieśniaków; każda familia ma jedną czy dwie takie studnie które w głębi dochodzą aż do granitu. - Tam gdzie napływowy osad spoczywa na granicie, łączą się małe żyłki i tam w pobliżu znajdują żwir obfitszy w złoto niż cała część wyższa pokładu. -

Zatrzymałem się czas niejaki na wierzchu góry, niedaleko krzyża, obejmując wzrokiem olbrzymie Kordyliery i głęboką u podnóża dolinę, od której w rozmaitych kierunkach po spadzistościach gór, rozchodzą się wystygłe, jakby w płaskorzeźbie grzbiety metalicznych żył.

Poczynało ciemnieć w dolinie; dzwon z wieży rozlegał się po okolicznych skałach i parowach; przechodzili koło mnie promeceros coraz tłumniej odmawiając różaniec i litanię do N. Panny; i zmieszane z ich pobożnością moje geologiczne pomysły, zdało mi się że już widzę cudowną Jej postać na uzłoconym gruncie a owe żyły po górach, jak złote promienie rozchodzące się od Jej świętego oblicza. -

Nie było czasu dłużej rozmyślać na górze, puściłem
się prędko, zajechałem do bliskiej kopalni zna-
jomego mi Franciszka, rozsiodłałem i uwiązałem
konia i zdążyłem jeszcze na nieszpór, ale się
nie mogłem wcisnąć do kościoła.-

Jakieżby to było zdziwienie którego z na-
szych parafianów, kochających kraj i Boga,
gdyby mu przyszło z jakiego naszego odpustu,
z kościółka napełnionego rolniczym ludem,
szlachtą i panami, z kraju wiekowych lasów
i kwiecistych łąk i przezroczystych zdrojów,
wyjść na ten odpust górników miedzianej
twarzy, jaskrawych ubiorów, między suche
potężne góry: - inny świat, inna przyroda,
tylko to samo niebo, ta sama wiara i
pobożność.-

Ledwo połowa ludu mieściła się w dłu-
gim, rzęsiście oświeconym kościele; druga
połowa klęczała za drzwiami.- Na rynku
mnóstwo ludzi, kramiki i ołtarzyki, i jeszcze
nie ucichły były śpiewy nieprzerwane z towa-
rzyszeniem organów w kościele, kiedy już
oświetlone były pokoje majordoma do
przyjmowania gości.

I któż to jest majordomo? jaka jego
godność i jakie obowiązki na odpuście? Jest
tu jak i po naszych kościołach, bractwo ró-
żańcowe, mające na celu cześć i honor
Boga Rodzicy, urządzanie nabożeństwa, przy-
jęcie ofiar i rozrządzanie niemi za wiedzą
Dyecezyalnej władzy.- Otóż każdego roku

przed Bożem Narodzeniem, obierało bractwo z pomiędzy siebie, a raczej z pomiędzy bogatszych, znanych z pobożności bractwa gospodarza i gospodynię na odpust, tak nazwanych mayordomo i mayordoma.- Ich obowiązkiem jest starać się o porządek i świetność obchodu, mieć dobrego kaznodzieję i spowiedników, spraszać obywateli, mieć starania o ubogich przybyszów, dać fajerwerk i nutę.-

O tę dostojność starali się za dawnych czasów zwykli panowie, hrabiowie, margrabiowie (książąt nie było), potomki konkistadorów, z większą ochotą niż dziś o wyższe urzędy, choć gadało że bez nagrody na wydatki i poświęcenie się, a dzisiejsze urzędy wszystkie płatne i niemożebne, często posługiwać się innymi zobowiązaniami, straciły urok.

Ostatnich lat trudno już było znaleźć ochotnika na mayordomostwo, chociaż z ofiar składanych na ołtarzu przeznaczono 200 piastrów, na opędzenie niezbędnych potrzeb.-

Zdarzyło się że tego roku, z powodu cudownego uzdrowienia jednej kanonowej pani w Coquimbo, ofiarował się mąż jej być mayordomo i żonę swoją przedstawił bractwu na gospodynię.- Gruchnęła wieść po mieście i całej prowincji że Don Gregorio Cordovez i jego dostojna małżonka Doña (donia) Isabel Cordovez de Cordovez jadą z całym domem na odpust i wszelkie przygotowania robią do uświetnienia uroczystości.- Don Gregorio

był jednym z najczynniejszych patryotów w wojnie o niepodległość; zabity nieprzyjaciel Hiszpanów, miłośnik Waszyngtona zasiadał w parlamencie kiedy szło o urządzenie Republiki, o zniesienie niewolnictwa negrów, o wolność druku etc., należał do stronnictwa postępowego, ale wówczas był rozumnym stronnikiem porządku i spokoju.—

Nieszpory były długie i nudne.— O dziewiątej uderzono we dzwony, w momencie kiedy celebrujący kapłan, podniesioną monstrancyą dawał błogosławieństwo, cały lud w kościele, u drzwi kościelnych i na rynku upadł na ziemię i odsłoniła się w głębi świątyni, wśród tysiąca świec i obłoków z kadzielnicy, cudowna postać N. Panny.

W tymże momencie, kilkadziesiąt rac puszczonych w powietrze, pękało na gwiaździstem niebie i zapowiadało że niezwłocznie rozpoczną się ognie sztuczne.—

Jest to niezbędny warunek każdej świątecznej uroczystości religijnej czy cywilnej w tym kraju; fajerwerk, ulubiona zabawa południowych Amerykanów, ale ta zabawa ma swój wyjątkowy charakter.— Z przyczyny może, że za czasów Hiszpańskich proch był drogi i pirotechnikami byli po większej części zakrystyanie i braciszki zakonni, więc to zwyczaj zabawić publiczność jak najdłużej tak że ludu okoliczności, starają się przedłużać ognie sztuczne (nie dbając na efekt, jakby powiedział Francuz) przez całą godzinę, czy

czy półtory godziny. Każda sztuka płonie po osobno, raca po racy, rysunek po rysunku, przerywane muzyką i dzwonieniem z wieży, a cała publiczność stoi spokojnie i cierpliwie pod gołem niebem.-

Między ciekawszemi ogniami, niezbędne na każde wiejskie święto, są tak nazwane <u>toros</u> (byki). - Są to tułuby urządzone z grubego kartonu, różnorakiego kształtu, pomalowane a z formy podobne do byków, do lwów, do dzików, z ognistemi oczami i paszczą.- Do tułuba wsłazi skurczony człowiek i tak że go niewidać, tylko u spodu przy samej ziemi dostrzedz można jego stopy i ręce na których się opiera i może biegać jak zwierz najszybciej, rzucać się, wierzgać, uganiać za kim chce. - Bierze z sobą dobry zapas małych rac a i na tułubie niebrakuje rysunków i ogniów bengalskich, które zapala kiedy zechce.

Spodziewano się tego wieczora najwspanialszych <u>toros</u>, nieznanych dotąd, nowego wynalazku, na które Don Gregorio nie pożałował kosztu. - Jakoż gdy czas przyszedł, wyleciały z za wieży dwa wielkie okręty najeżone armatkami i rozpoczęły z sobą bój na race i petardy, jakoby batalię morską. - Ukryci w nich sztukmistrze manewrowali do podziwienia, sunęli się jeden do drugiego i kołysali się jakoby unieszeni falą morską; niekiedy stawały bokiem

o niebie owe okręty i niewiadomo skąd się
brało tyle bąb i szmergłów, któremi się rzucały
jeden na drugiego; a gdy kto z ciekawości
podsunął się, to się i jemu dostało, że musiał
uciekać z podrapaną opończą, a drudzy
w śmiech w żarty i krzyki. – Gdy tam uciekał
okręt, ma się rozumieć hiszpański, a za
nim uganiał narodowy, tu już nie było
miary wrzaskom i pustocie, nikła powaga
i poważność chwilęczka, panowała wesołość
i żarty; za uciekającym puściły się lekkie
race i pukawki, a na okrętach rozpalały
się młynki.

Wśród tego zamętu, niedziw że jednemu
balonowi spadł szmergiel między rzędy szero-
kiego hiszpańskiego sztandaru, nie było czego
się gniewać, tylko starano się zasłaniać
panie i młode dziewczęta. – W końcu zapa-
lił się okręt hiszpański, jakby wysadzony
w powietrze, pękł i rozleciał się w kłęby
różnokolorowego dymu, a drugi, wśród
viva i oklasków, wpędzał się jeszcze za
swawolną dziatwą i przepadło w ciemności. –

Zdawało się że już po wszystkiem i ci-
chość – odnowiły się na ciemno lazurowem
niebie gwiazdy; aż tu na nowo drgnęły
na wodzie, gra muzyka; widać że się zanosi
na coś lepszego.

Jakoż ukazał się Michał archanioł
cały oświecony, olbrzymi, lśniący się od zbroi
przechadzał się z wolna, cichoś powoluchno
milczenie, kiedy z nagła, niewiadomo skąd wypada
straszny potworny szatan, czarny, z potężnym ogonem

i pakazą rzygającą iskrami i płomieniem. Zaczę-
ła się bitwa na dobre serio, tem straszniejsza
że oprócz niezliczonych ładunków, któremi
Anioł ciskał na Szatana, a które pękały
w powietrzu i podobnych, któremi zły
duch bronił się zajadle, wylatywały z wież
i z okien kościelnych wielkiego kalibru
race; a z nich jedne biły w zenit, drugie
w Magelańskie plamy przed biegunem,
inne w południowy krzyż lub inne piękne
konstellacye na chwałę Bożą. — Nie w
ciemię bity Szatan walczył do upadłego. —
Niewiadomo skąd mu się brało tyle kul
ognistych, które z trzaskiem i sykiem
i siarczystym swądem wyrzucała jego
tubuka; choć żadna nie tknęła Anielskiej
zbroi, a większa ich liczba padała między
krzykliwy motłoch i powiększała wesołość
i zamieszanie.

Aż w końcu, oświetliła się przywytum-
kły palnie na środku rynku, Najświęt-
sza Panna, z kręcącemi się ognistemi
młynkami w obu dłoniach i zapaliło się słońce
na jej głowie. — Szatan w nogi, a za nim
popędziła się gromada chłopców i rozszarpała
papierowy tułub, wśród okrzyków Viva! i viva!
a niewiadomo co się stało z człowiekiem
który był w tym tułubie ukryty i który tak
dobrze odegrał rolę. —

Na tem się skończył fajerwerk.
Mylę się. — Już była dziesiąta, lud poczynał

wschodzić się; w tem błyszczało światełko na wieży, za niem drugie i trzecie, a za trzeciem wylatuje z wieży ogromnej wielkości smok i jedynym rzutem spuszcza się (po linie której nie było widać w ciemności), aż na środek rynku, gdzie była na kilkanaście stóp wysoka piramida, cała misternie wyrobiona z trzciny powiązanej w kraty do których uwiązane były, od dołu aż do góry, lampki, słońce i małe tadunki z prochem. Smok zapalił piramidę, ta w ogniem oka przemieniła się w ognistą kolumnę, oświeciła szczyty Kordylierów, i zgorzała przy okrzykach: viva Mayordomo! viva Chile!

Po tem, większa część pospólstwa, zwłaszcza kobiety, poszły na spoczynek gotując się do rannego nabożeństwa, a świat oświecony na bal do Mayordoma na który i mnie zaproszono.

Mnóstwo postrojonych dam i kawalerów było, pieśń taneczna, muzyka wyborna choć nieliczna. Na pierwszym rzędzie był kontradans hiszpański do którego stają pary jak u nas do anglezа; taniec poważny, nieco zagmatwany w figurach, brały w nim udział osoby nawet półwieczne. Za nim szedł cuando, już dla młodszych panien, taniec ze śpiewem i przy gitarze; pierwsza jego część jest menuet, pełen gracji, ukłonów i dygania, druga, alegro, nader żywa, skoczna, wesoła. — Do tych poważniejszych, należy się do zamakueki, do resbalosy, i innych tańców podobnych do kaczuczy i bolero andaluskich. — Do każdego z nich stają

chłopisze

chłopiec i dziewczyna, skacząc jeden do drugie-
go wywijając chustkami, nie ulegając
częstokroć regułom i przepisom tancmistrza,
poddając się natchnieniu przy śpiewie mi-
łosnych <u>tonadas</u> (piosenek), z przyzwoitością
i umiarkowaniem.-

Ale Boże przebacz, nie jest tu miejsce
pisać o tańcach, zabawach, o gracji dziewcząt,
mianowicie o jednej która szczególniejszym
wdziękiem, urodą, lekkością i oczami czarowała
mniej pobożnych, mnie i pobożniejszych a
na którą pogniewał się obecny proboszcz
i podobno upomniał Don Gregorio.

Wracając o północy, [illegible] chętka-
[illegible] niegodna sługi, któryby pierwszego
podróż, że umie zajrzeć do każdego kąta
nieproszony! wzięła chęć zajść do cyganów,
to jest jakby do karczemki naszej dla przypatrze-
nia się, jak też lud tutejszy bawi na kier-
maszu.- Była to ogromna szopa na 40 czy
50 łokci długa, tak napełniona górnikami
i wszelkiego rodzaju ludźmi, że trudno było
przecisnąć się do środka, gdzie na podniesionym
o parę stóp pomoście, skakał chłopak i dziewczyna
a też na ławie, siedziały trzy kobiety, jedna
z nich silna, rubaszna, na pełne gardło przy-
śpiewywała skaczącym, druga [illegible]
wtórowała i przygrywała na arfie, trzecia
najmłodsza, wybijała w takt, jakby na bębenku
po pudle arfianem.- Cała publiczność stała
spokojnie, przypatrując się zblizka i zdaleka

tańczącej pary i słuchając śpiewu. - Nie było kobiet, sami tylko mężczyźni, i między górnikami ni jeden z mieszczan w sukiennej kurtce, czy surducie, a nie brakło i na kawalerach przystrojonych dla powagi w płaszcze, choć nie było zimno. - Wszyscy prawie palili cygara po kątach i na dworze przepijali do siebie, jedli lody, pili oranżadę, a nie było pijatyki, burdy ni zwady.

Charakter w istocie tego ludu mało sobie coś złośliwego. - Tak krajowiec Indyanin jest - z przyrodzenia cichy, nieco ponury, umiejący ukryć w sobie do ostatniego namiętności i uczucie czy przykre wrażenia. - Dodaj że do tego powagę hiszpańską, dumę kastylijską, grzeczność i dbanie o powierzchowność, obawę nadewszystko śmieszności i krytyki a będziemy mieli niejakie pojęcie charakteru złożonego z tych żywiołów.

Chilijczyk z prostego ludu nie tańczy, nie śpiewa; najmuje na to piękną dziewczynę i swego chłopca aby go bawili, a nie ma dla niego tańca bez śpiewów i arfy czy gitary. Tańce i śpiewy ludu są po większej części te same co bogatszej klasy: tylko ów bailador i bailarina (tancerz i tancerka) płatni, pozwalają sobie nieraz więcej niż się godzi i śpiewy niezawsze skromne i obyczajne. - Kto je wymyśla, niewiadomo; jest wiele smutne, miłosne (tristes) nie obrażają przyzwoitości, ale w weselne puste, swawolne (tak jak i u nas) łatwo się wkrada słówko, koncept nie ludu, grubszy, gorszący, który rozśmiesza, ale kazi, brudzi serce

i złe instynkta rozwoju. - Cóż stąd, że wady i choroby które w prostym ludzie nie są tak niebezpieczne, dopóki serce zdrowe, nie zadrubie niezbożnością i zapewne nie godzi się być surowym w opinii dla ludzi, którzy wszyscy święcą się z wesołego stanu wracają do pracy i poświęcenia, nie zazdroszczą bogatym szczęścia i rozumu.-

26. Grudnia.

Na zajutrz jeszcze nie zajrzało słońce z Andyjskich lodów, kiedy się poczynał zapełniać kościół pobożnymi promeseros, konfesyonały były zajęte, najbiedniejsze kobiety, staruszki, chore, kalekie, klęczały u podnóża cudownego wizerunku Matki. Było to najlepszy czas do widzenia go i do pomodlenia się, bo nie co później, nie byłoby sposobu docisnąć się.- Nie jest to obraz na płótnie, ale statua, posąg naturalnej wielkości, w bogate szaty i klejnoty ubrany.- Na głowie złota korona, cała prawie brylantami wysadzona, wśród których błyszczą dwa wielkie szmaragdy i rubin. Suknia długa atłasowa biała z przodu suto złotem haftowana, po niej od ramion spadający do ziemi płaszcz zielony aksamitny z przodu otwarty, cały złotemi gwiazdami ozdobiony, na szyi jeden wielki różaniec z złotych filogranowych gałek, każda gałka wielkości tureckiego orzecha, drugi mniejszy z pereł z brylantowym krzyżem; a ileż tam brylantów na kamizelkach, na sukni, na płaszczu, na nogach, tego opisać trudno.- Na prawem

w imieniu Boga Rodzicy, widać Dzieciątko
Jezus, niemniej bogato ubrane, w brylan-
towej koronie.

Od samego rana składano na tacy
u nóg N Panny ofiary z pieniędzy i klejnotów.

Kiedym wyszedłszy z kościoła sta-
nął na krużganku i rzucił okiem na oko-
lice, nigdy jeszcze Kordyliery nie okazały
mi się tak wspaniałe, w swoich olbrzymich
kształtach i rozmiarach; rażącą jasnością
napełniało słońce całą przestrzeń od nieba
do ziemi.- Cichość w powietrzu; żadnych
ptasząt, król tylko sępów, chilijski kondor,
zakręcił się ponad kościołem w przelocie,
nęcony jakąś daleką strawą.- Przyroda
kamienna, wyzuta z najlichszej nawet
krzewiny, jednak okazała, wroga, nie ubliżała
świętości obchodu, owszem dawała mu charakter
surowszy; owe niezmierne massy porfirowe
i granitowe, monumenta strasznych wstrzą-
śnień i rewolucii na kuli ziemskiej dziś
nieporuszone, były ozdobą i przepychem uro-
czystości.-

Aż do dziewiątej było cicho i spokojnie.
Lud schodził się ~~spokojnie~~ powoli do kościoła,
kobiety w czarnych sukniach, zwyczajem
chilijskim, czarnemi szalami od głowy
aż do kolan otulone, takie tylko oczy i części
twarzy miały odsłonięte, szły poważnym
krokiem.- Za bogatszemi niosły małe chłopcy
czy dziewczyny dywaniki, na których kobiety

klęczą i siadają w kościele, bo z małemi wyjątkami, dotąd po kościołach w Chili niemasz ławek ani klęczek.– Opodal liczne grupy górników stały nieporuszone, czekając na wielką mszę.–

O dziesiątej uderzono w dzwony i w tym momencie, Mayordomo otoczony wyższej klasy Obywatelami, wszyscy prawie w czarnych frakach, a Don Gregorio z laską, szli od domu bractwa przez rynek; za nim Doña Izabela z orszakiem licznych dam w czarnych jedwabnych sukniach z welonami.–

Jednocześnie po rozmaitych miejscach dały się słyszeć brzękania arf, gitary, grzechotki bębenki, piszczałki i przeciągały po całej wsi i po rynku, strojne kozyji tak nazwanych turbantes, o których niebędzie odrazu co powiedzieć.–

Od niepamiętnych czasów, zapewne od zawojowania Ameryki, przez tak nazwanych conquistadorów Hiszpanów, był zwyczaj tańczyć i śpiewać pieśni ~~naboźne~~ w ojczystym języku, na obchodach kościelnych na cześć Panny i Świętych w całej Ameryce Hiszpańskiej.– Missyonarze Hiszpańscy których celem było, zgodnie z duchem owej epoki, zawojowanie, zabór dusz na wieczne ich zbawienie (conquistar las animas), badali dobrze, charakter prakrajowców, dzikich Indian, ich skłonności, nałogi i co się bardziej im podobać mogło. Miarkowali z razu, naginali

ku ich upodobaniu, obrządki kościelne, miłością, broniąc ich często kroć i zasłaniając przed surowością i chciwością zaborców, nawracali na wiarę. – Za długo byłoby o tem pisać. – Dosyć że przy pomocy [illegible] którym też chodziło o zachowanie ludności, potrafili zachować w tej części Nowego Świata, którą Hiszpania opanowała, 15 do 20. milionów ludności miejscowego szczepu, dziś prawie całej chrześcijańskiej. Kiedy współcześnie koloniści anglosascy potrafili wytępić co do jednego z ziem które posiedli, prakrajowców (indiena, Indios), posyłając na ich nawrócenie, proch, ospę i okowitę.

Otóż wracając do rzeczy, między innemi sposobami, jakich używali księża do zjednania ~~sobie~~ ku sobie krajowców, przy łasce Bożej, było układać dla nich i uczyć pieśni nabożnych w ich języku, ozdabiać dla nich jak najlepiej ołtarze i obrazy, przedstawiać im obrządek i obchody kościelne w wesołej barwie. – Zaraz w nich spostrzegali wielkie upodobanie do muzyki, śpiewu i do tańca, pozwalali urządzać processye przy dźwiękach instrumentów, na jakie się mogli zdobyć, prości ludzie, pozwalali im skakać dla przypodobania się Bogu i śpiewać. – Dodać to z zaznaczeniem, że zwyczaj tańczenia na processyach był znany w Hiszpanii i łatwo go było przenieść do nowego świata. –

Na parę tygodni przed świętem w Andacollo, mieszkańcy pobożniejsi, rzemieślnicy z Coquimbo i innych pomniejszych miasteczek, którzy ofiarowali się iść na odpust i tańczyć na chwałę Madonny, szyli dla siebie ubiory tradycyjne, formowali się w oddziały, a nawet uczyli się jak mają wystąpić w tańcu, żeby nie obrazić dobrego gustu i przyzwoitości.

Strój tak nazwany <u>turbantes</u> od turbanów które kładą na głowę, jest następujący: - kurtka, spodnie i trzewiki białe, u pasa szarfa błękitna czy czerwona, na głowie kołpak ostrokończasty z kartonu, złotym czy srebrnym papierem pokryty, na pół metra wysoki, ostro zakończony; na końcu kołpaka u góry umieszczony pęk wstążek rozmaitego koloru, białych, różowych, niebieskich, tak długich że poniżej ramion spadają aż do pasa, a od wiatru rozlatują się i powiewają w powietrzu. Z pod tego kołpaka czyli turbanu wychodzi biała muślinowa, u niektórych tancerzy jedwabna chustka, która często twarz okrywa, z pod której dziwnie malowniczo odbija miedziana twarz i czarne ogniste oczy turbanta.-

Tak postrojeni tancerze, dzielą się na kompanie, każda z 20 do 30 osób złożona, i każda z nich ma swego kapitana i dwóch podkapitanów, każdy prosty turbant ma w jednej dłoni grzechotkę drewnianą (castanuelas), jakich używają tancerki

Andaluskie do swoich bolerow, w drugiej chusteczkę białą, jeden w każdej kompanii niesie gitarę, po której brzęka, a tylko Kapitan, pospolicie człowiek podeszłego wieku, niekiedy w parze z małym synkiem czy prawnukiem, i dwaj podkapitani, trzymają w prawem ręku, każdy szablę do góry podniesioną, krótką podobną do niektórych myśliwych tasaków, dobrze wypolerowaną i wyostrzoną, jakoby na znak że cała drużyna gotowa bojować za Wiarę.-

Każda Kompania idzie osobno na odpust, popasuje oddzielnie i od rana szykuje się w szeregi, po parze, każda z swoim Kapitanem na czele.- Za pierwszem zadzwonieniem na mszę śpiewaną, wychodzą każda z osobna na obszerny plac przed kościołem i defilują w rozmaitych kierunkach powoli, poważnie podskakując i gruchocząc w takt dawany przez gitarzystę.- Nie widać w nich pretensyi ni gracyi tanecznej, każdy wyprostowany jak do marszu, z nieporuszonym wzrokiem przed siebie, patrząc im w oczy a nie na nogi, rzekłbyś że mówią pacierze niż żeby tańczyli.- Nie wchodzą do Kościoła; zatrzymują się na placu, każdy szereg oddzielnie, w porządku, czekając na procesyę.-

Piękny to był prawdziwie malowniczy widok, kilkunastu Kompanii, tych białych, strojnych, wysokich, barczystych turbantów

przeciągających szeregami po rynku, między
rozmaitego stanu i ubrania ludźmi. - A zal-
dwo się te szeregi zgrupowały przed Kościołem
i ucichły ich gitary kastaniety i t.d., dały się
słyszeć po całej wsi bębenki i piszczałki.

Poczęły wychodzić z różnych stron na
rynek gromadki Indian z czystego szczep-
aborygenów, który się dotąd zachował na
ustroniu w dalekich okolicach, chociaż
już zapomniał języka praprzodków,
mówi po hiszpańsku, wychował się w wie-
rze katolickiej i jest bardzo pobożny. - Każ-
grono tych przekrajowców z pięciu czy
sześciu złożone wychodziło, skacząc i grając
jeden z nich stary, potomek zapewne jak-
go Kacyka, niósł chorągiewkę białą uwiązan-
na trzcinie, drugi wybijał pięścią na bęben-
trzeci dął w piszczałkę jednym tonem, a
jego piszczałka była to kość z nogi kondor-
wyżłobiona, z małym otworem na boku.
Niskiej urody ci ludzie, odmiennego zu-
pełnie szczepu od południowych, sławnych
z odwagi i charakteru Araukanów,
należą raczej do szczepów północnych Bo-
liwijskich Indian z Labaz, podobni do nich
z twarzy, z figury i koloru, tylko że tam
mówią dotąd dialektem quichua (Kiczu
a tutejsi mieli osobny chilijski. - Wiad-
że przed odkryciem Ameryki, byli tego
kraju Indianie zawojowani od owyc

Inkasów z Peruwii, który z wszystkiem wyższej cywilizacyi, niebawali się przejść przez pustynię Atacama aby rozszerzyć swoje panowanie, niewiedząc że już i na nich koniec przychodzi.-

Owoż te małe gromadki indyjskich tancerzy dziwny kontrast czyniły z turbantami. Ci, prawicielszy wysokiej urody, wyprostowani, strojni, błyszczący od złotych i srebrnych błyskotek, biało ubrani, pyszniący się zdobnością lśniących się wstążek i błyszczących chustek, poważni, wyniośli potomki konkistadorów choć pomieszanych już od wieków z krajowcem szczepem, tworzyli świetne szeregi jak do boju.- Tamci zaś skurczeni, ciemnomiedzianego koloru, niscy, szerokich policzków, nikłego na dwa całe ciało i przypłaszczonych szerokich nozdrzy; byli ubrani w czarne długie ponczo wełniane, czarne krótkie kansolncillo (spodenki) i z surowej skóry chodaki.- Włos gruby, czarny na głowie, wszystek zaczesany i spleciony w kosę jak harcap, tylko ponad czołem ściśle najeżony sterczący - na brodzie niepowstała zarost, albo bardzo rzadki, a głowa odkryta.- Taniec też ich prosty, niewinny jak dzieci skaczących na ulicy po naszych wsiach; skaczą jak który umie, podskakują na obie nogi tak wysoko jak siły wystarczą, przypadają do ziemi i znowu się podnoszą w pokłonach ku kościołowi, a dmą w swoje dudki zawsze jedno i tożsamo.-

Tak owe gromadki pobożnych, przed trzema
wiekami [illegible] ziemi, wżyły się skupiąc
bez porządku, między ludem, podchodziły
do kościoła i odchodziły kłaniając się i zaglą-
dając do środka, czy obawą swoją, jak wzy-
wają z pierwszej orędowniczkę czynite
(Słowa china wzywają przez dzwonki i po-
gardy Panowie Panie na proste dzieco-
czyny indyjskie, niedzielnej bieżący)
niewolno im było, tak jak burbantom
wejść w skokach do kościoła, zatrzymali
się tedy na dworze i poklękali.-
Msza wyszła i nastąpiła taka cichość że
nawet zdaleka na placu słychać było śpiew
kościelny, muzykę, nawet po części kazanie.
Tysiące ludu było na placu, a nikt się nie-
ruszył z miejsca: porządek i spokojność, choć
nie było żandarmów, a policji ani na lekarstwo;
każdy klęczał na ziemi lub stał jak wryty pod
gorącem niebem; u confiteor powszechne
bicie się w piersi, a przy podniesieniu zie-
mia usłana była ludem w pokorze.-
O samej dwónastej uderzono we wszystkie
dzwony i w tymże momencie, kilkadziesiąt
rac pękało w powietrzu ponad kościołem na
znak że wychodzi procesya.- Stanęła u wielkich
drzwi z kościoła, cudowna Statua Madonny z
Dzieciątkiem na ręku; u jej podnóża był glob
błękitny ze srebrnym półksiężycem, a całą jej
osobę okrążała w powietrzu girlanda ze srebrnych
i zielonych emaliowych liści; dwunastu silnych
górników wyniosło ją na pokrytym srebrną

blaskiej pottumienie. - W rozjaśnia. Słońce które
w tej porze roku i tej godziny było prawie
w zenitu, biło pionowemi promieniami
w dwie brylantowe korony, w rubiny
i złociste kafty, z taką siłą, że i najdumniej-
szy śmiertelnik niewytrzymałby ich blasku,
uchyliłby się do ziemi. - Tu już i najlepsze
pióro nie zdołałoby opisać uniesienia, roze-
rwanej i radośnej pobożności ludu, kiedy chór
zaintonował Salve Regina. -

Szły naprzód poważne z rozpuszczonemi
na powietrzu wstęgami, gitarami i
kastanietami, w takt lekko podskakujące
szeregi turbantów, kapitani z szablami na
czele każdego szeregu. - Jeśli taniec niemiał
nic wspólnego ze światowemi tańcami;
było to raczej pacierz skaczący ofiarujących
się na odpust pielgrzymów, które porzągł.
żadnej nie robiąc obrazy, nie oglądał się na
przechodzących. - Za turbantami sypały się
i skakały z bębenkami i piszczałkami
kółka czarnutkich Indian, w każdym
kółku stary kacyk z zapleciony w harcap
siwizną i z białą chorągiewką na trzcinie,
wybijał w pięty, przypadał do ziemi, płakał,
zaglądał w oczy cudownemu Obliczu Panny,
krzyżował się, składał ręce na piersiach,
obcierał się łzami i potem, a wtórowali mu
z niemniejszą gorliwością towarzysze. - Skoki
ich były tak naturalne i niewinne, jako
dzieci skaczących dla podobania się matce

pokazującej dla nich w dłoni takowe.-
Niedbali o zgrabność; nieskakali dla
siebie, ani dla ludzi.-

Za tą pobożną skaczącą drużyną i około
niej szedł lud, mężczyźni i kobiety, bractwo
różańcowe ze świecami i po tem wielu
kawalerów poprzedzało cudowny wizerunek
Boga Rodzicy. Jej bogaty posąg był niesiony
jakem powiedział przez górników, za który-
mi szło duchowieństwo i Don Gregorio,
majordomo uroczystości, nakoniec, już
daleko, na kilkaset kroków od przedniej
straży tańcerzów, niósł proboszcz celebrant,
w asystencji dwóch xięży, pod przepysznym
ze złotej lamy baldachimem (palio), trzy-
manym przez sześciu przedniejszych obywa-
teli, Najświętszy Sakrament.

W największym porządku, choć niebyło
ktoby go przestrzegał, ni mistrza ceremonii,
przeszła procesya po obszernym placu i
około pierwszej wróciła do kościoła. Tylko
tańcerze zostali za drzwiami, czekając
na proboszcza i majordoma, a skoro ich
obaczyli wychodzących, poczęli przekładać
najuniżeniej, że kiedy niepozwalono oddać
czci należnej Matce, podczas mszy i
nabożeństwa w kościele zwyczajem
przodków, to niewidzą przyczyny dla czegoby
teraz niemogli dopełnić swojej powinności

Zgodzili się na to proboszcz i Don Gregorio
i zostawili drzwi otwarte

Wtedy naprzód szereg turbantów z
Coquimbo, najstrojniejszy, dobrze wyćwiczony
złożony z rzemieślników, podskakując
zwolna w takt gitary i grzechotek, zatrzymał
się przy ołtarzu swojej patronki, a kapitan
z szablą i dwóma podrzędnymi, wykonali
taniec tradycyjny, kręcąc się w około przed
obrazem. Ich towarzysze wtórowali im
na miejscu, tupiąc i potrząsając kastanie-
tami. Potem przystępowali jeden po drugim
do ucałowania krzyża, i każdy złożył jakąś
ofiarę u nóg Boga Rodzicy; nakoniec roz-
dzielił się podwójny szereg (bo wszyscy byli po
parze) na dwa rzędy, w dwóch przeciwnych
kierunkach i po niedługiej ewolucyi,
grając i skacząc, znowu się połączyli i wy-
szli parami. – Na ich miejsce przyciągnęła
druga, potem trzecia, czwarta kompania
i inne, z taką ceremonią co pierwsza i
z powagą, tylko dowódcy mijając jedni
drugich, pozdrawiali nawzajem szablami
~~na znak~~ braterstwa

Między turbantami odznaczała się
mianowicie kompania przybyła z Molle,
gdzie żyła przed odkryciem Ameryki
liczna ludność prakrajowców, potem
przemieniła się w encomienda dosyć
zamożną i dotąd widać tam obszerny
cmentarz Indyjski (o tych encomiendas

należy kiedyś obszernie napisać). Dwaj przewodzący za którymi szły gąsiorem dwa rzędy turbantów, byli ludzie wysokiego wzrostu, mieszanego rzepu podziyli, wysokie chłopy bogato ubrani, wykonali ochoczo i dostojnie na środku kościoła swój poważny taniec, kręcąc się jeden przed drugim, z podniesionemi do góry szablami, na znak że są gotowi weselić się, walczyć i umrzeć za wiarę. - Potem stanęli jak wryci, i śpiewali na przeciągłą, tęsknotę nutę pieśń na honor Panny Świętej na to święto ułożoną przez Ojca Bonilla przeora Dominikańskiego. był to wiersz i strofa na podziękowanie proboszczowi i panu Naiordomo, i dla kanonowej gospodyni Doña Izabel. - Wszystkie kawalkady kompanie turbantów złożone z samych inkilinów, uprawiający roli z Saturno, osmagłej twarzy hebanowych włosów i oczu, lud barczysty, w złotych kotpakach i białych płaszczach, na ich czele 80 letni starzec z małym chłopcem, prawnukiem w takimże ubiorze co starzec, obaj mieli twarz na wpół osłonięte.

spadającemi z pod turbanów, mufli-
nowemi chustkami. – Starzec dziarski
wywijał maczetem (krótkim, szerokim
szerokim wypolerowanym tesakiem)
jakby pogrążając nieprzyjaciołom
wiary i przypatrującym się mu
z uśmiechem kawalerom, skakał
rzucając ognistem okiem to na obraz
to na przewodnika, dalej kończ[?] mak
uciche gitara i kastaniety a mały
chłopczyna śpiewał jakąś starą
piosenkę na cześć Panny, za której
każdy strofę przyśpiewywali dziad
i cały rzeszy tańczących.

Ach! gdy przyszła kolej na Indyan
trzeba było widzieć z jaką ochotą i nie-
zwykłą wesołością zbiegali, wywijając
chorągiewkami starek, bębniąc i dęc
w korydorowe piszczałe młodzi. Przykur-
czeni, okryci grubemi czarnemi ponczami,
spoceni, podskakiwali, nie jeden bokiem,
jak mogł, i śpiewali stare indyjskie
pieśni, zapewne od najpierwszych
missionarzy uczone, których już
niezrozumienie. Trudno było wstrzy-
mać się od łez, patrząc na ich prosto-
tę pokorę pobożność. – Nie było końca
ich skokom, śpiewom i bębnom, gdy-
by za nalegaśniem zakrystiana, nie

niewyprotono ich z kościołów i niezamkniętych drzwi.

Bo też w domu Mayordoma i nanowszej gospodyni był już czas na obiad. Stoły długie, całe ustawione półmiskami i butelkami. Usiadły damy i większa część kawalerów, pierwsze miejsce zasiedli uprzejmi gospodarze. - O Obiedzie nie umiałbym powiedzieć najprawniejszy do pisania ~~turysta~~ nowejszego turysty. - Wszędzie ta sama rzecz-na. - Przy zupie cicho; powoli rośnie rozmowa między tymi co obok siebie siedzieli, potem przeskakiwało słówko po słówku, przez dwa czy trzy krzesła. - Zdawało się że powoli przyjdzie na dobre do jakiej dyskusji lub się oderwie jak u nas pierwszy lepszy gaduła. - Nie z tego, wielkie umiarkowanie i skromność, choć już ni jeden podochocił, nie przyszło do przemówek ni do serdecznych oświadczeń. - U nas na stypie byłoby gwarliwiej, niż tu na feście. Spełniali jednak dość i często jedni do drugich ale z angielska, po cichu: co nie było do twarzy ~~tut~~ tutejszym gościom ruchliwym, czarnookim, tak odmiennego ujęcia od Anglosaxonów i Jankesów bo kiedy ci przy swojem, one glass of win

with you. tylko głową sięgają aż do niej
automatycznie, nie tworząc pacierzowej
kolumny, dobry chilijczyk nie może
obejść się, żeby angażując przyjaciela
do przepicia, nie wychylił i połowy
sobie i nie przypomniał się choćby lekkim
uśmiechem. - Nie spodobało mi się to, że
nie wypiłem zdrowia, na cześć mayor-
doma, Donna Izabeli i proboszcza.-

Przeciągała się uczta, prawie do
wieczora. Damy odeszły, rynek i
kościół znowu poczynały się napełniać
ludem, dzwoniono na nieszpór, a
my przy stole.-

Siedząc przy Panu Gregorio,
który mi z takiej uprzejmością zaszczytne
miejsce ofiarował, rzekłem z cicha,
powiedz mi Senor Don Gregorio, co
o nas pomyślą owi poczciwi górnicy,
którzy na nas przez okna patrzą,
w świątyni w kościele, ubodzy i każdy
modlą się i składają ofiary, a my
tu jeszcze dopijamy.-

Don Gregorio, człowiek bystry
były senator, zamyślił się na chwilę,
potem wstał i począł przekładać, obra-
cając się szczególnie do młodszych:-
Senores, pamiętajmy dać z siebie
przykład, jeśli ci pracowici ludzie

"ubodzy, mają za co dziękować Bogu, wnieść
"z siebie i ze swego zarobku, co mogą na
"cześć i honor naszej Królowej i Dobro-
"dziejki, to my szczęśliwsi od nich, o-
"świeceni, wolni, mamy więcej powodu
"do wdzięczności i uspokojenia się. — czas
"już Panowie połączyć się z ludem, bo
"nam republikanom, wiele zależy
"na braterstwie z ludem, a niema
"na świecie braterstwa, niema
"jedności, niema zgody, niema
"wolności, gdzie niema wiary i jedno-
"ści w sercu: - ubi Deus ibi libertas
"Proszę Waszmościów ~~do~~ do kościoła na
"nieszpory."

Wszyscy oświadczyli gotowość, tłumem rzucili się do kapeluszów. - Don Gregorio z trudnością odnalazł laskę swoją. - Trudno było przecisnąć się przez drzwi, tak jeden przed drugim spieszył. - Ale zaledwo wyszliśmy na rynek, obejrzał się Don Gregorio i nie było nikogo przy nim, prócz mnie i dawnego komendanta civicos (gwardyi cywilnej) z Coquimbo, Don Ignacio Campos.

Znaleźliśmy kościół nabity ludem, odmawiano różaniec, potem śpiewano nieszpory, po których już poczynano gasić świece, kiedy niespodziani, zobacz

się ruch przy figurze Matki, usłyszano bębenek i piszczałki. – Wybiegł proboszcz z zakrystyi, za nim Don Gregorio, zatry-styczam, trudno było przecisnąć się. – Widać było chorągiewkę białą na kiju; z kąd się wzięli tancerze, kiedy im było zabronione wejść do kościoła?

Nie było już rady. – Oto w momencie kiedy się schodził lud do kościoła na nieszpory, jednej gromadzie Indian udało się wcisnąć między pospólstwem, zmyliwszy czujność straży postawionej przez Don Gregorio, na to aby nie wpuszczać tancerzów ani flecistów ani Indian z bębenkami. – Między tymi co się wcisnęli, wniósł jeden pod pachą, ukryty w swoim czarnym ponczo, bębenek, drugi w zanadrzu dudkę, a stary kacyk miał tylko kijek na którym opierał się a chorągiewkę w kieszeni. – Wszyscy trzej modlili się cicho i spokojnie, póki trwały nieszpory, aż odeszli księża od ołtarza, i zanim Mayor-domo, wtenczas to zaczepił starzec na kiju swoim chorągiewkę, dobyli dwaj drudzy swoje dudkę i piszczałkę, do nich przyłączyło się kilku Indian czarniutkich i już w pląsy na pożegnanie przed Matką, i już bębnić i grać na flecie. Lud który począł wychodzić wracał znowu i cisnął się do środka. – Na próżno proboszcz i Don Gregorio prosili, zaklinali pobożnych tancerzy, żeby już dali pokój swoim skokom. – Indianie

tem więcej, z większą ochotą i mozołem skakali, bębnili, piszczeli, kłaniając się zalecając się swojej najświętszej Pani aż Pan Majordomo i xięża rozweselili się i pozwolili im cieszyć się i weselić jak chcieli, aż w końcu im sił niestało.- Ucałowali nogi Panny, każdy położył kilka groszy na ołtarzu i odeszli pod-skakując i grając spokojnie.- Zamknięto kościół.-

Do późnej nocy bawiono się u Majordoma i po wielu domach we wio-sce.- Nie było widać pianych, ni kłótni żadnej; na zajutrz obliczono ofiary złożone na ołtarzu Boga Rodzicy i znaleziono więcej pięciu tysięcy piastrów, które zaraz rada kościelna przeznaczyła na szpital dla chorych i kalekich górników.